15 października 2020 – wznowienie publikacji po ataku hakerów.

Drodzy czytelnicy! Po ataku hakerów i zniszczeniu zawartości magazynu, udało się odtworzyć bazę danych i przywrócić ponad 1300 artykułów, tworzących archiwum polskiej kultury poza krajem.

Wszystkim czytelnikom i przyjaciołom magazynu „Culture Avenue”, którzy wzięli udział w kampanii crowdfundingowej i pomogli w odbudowaniu pisma, bardzo dziękujemy!

Jednak ze względu na opóźnienia w nadsłynianiu tekstów przez autorów otwarcie magazynu nastąpi dopiero w czwartek 15 października 2020. Od tej pory będzie się ukazywać codziennie

od poniedziałku do piątku, z wyłączeniem świąt obowiązujących w Polsce. Pojawił się też nowy cykl międzykontynentalnych spotkań z autorami magazynu „Culture Avenue” przez platformę Zoom. O szczegółach będziemy informować.

Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.



Dwór klasycystyczny, 1791, zw. Du-Chateau w Hrubieszowie, obecnie Muzeum, rys. Wrzesław Żurawski

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Kryzys ekonomiczny lat trzydziestych XX w. zmusił mojego ojca do przyjęcia propozycji zorganizowania Banku Spółdzielczego dla rolników i ziemian, w małym miasteczku powiatowym, w Hrubieszowie (ojciec był z zawodu finansistą).

Niestety, wiązało się to z opuszczeniem własnego domu w Zamościu. Widać, jednak była to konieczność, a posada dyrektora banku na tyle intratna, że dawała możliwość utrzymania rodziny na średnim poziomie. Zamieszkaliśmy wtedy w reprezentacyjnym miejscu, najpiękniejszym w mieście domu-

dworze państwa Du Château, zajmując całą oficynę (wówczas była tylko jedna po prawej stronie patrząc na front pałacu). Dom był samodzielny, parterowy, czteropokojowy z kuchnią i przedpokojem oraz z gankiem drewnianym od frontu. W mansardzie znajdował się uroczy pokoik z oknem wychodzącym na stronę południową na płaski dach nad dworską kuchnią. Do tego pokoiku wchodziło się po kręconych schodach prosto z jadalni. Schody były podparte drewnianym słupem malowanym olejną farbą, co dawało pewną śliskość. Używaliśmy go do skracania drogi i małpich wyczynów. Zawsze bracia byli szybsi ode mnie. Duży pokój – jadalnia posiadał okna na dwie strony zajmując całą szerokość budynku oficyny. Od strony zachodniej dwa okna na zieleń i podwórze i jedno wychodzące na front z klombem i okrągłym podjazdem, jak to zazwyczaj było w dworach polskich.

Dwór – pałacyk datowany w naczółku „1791” był może nawet wcześniejszy i zapewne budowany przez ostatniego starostę Hrubieszowa, miasta królewskiego, Franciszka Salezego Potockiego częściowo na terenie dawnego, drewnianego zamku królewskiego, zniszczonego przez Chmielnickiego w 1648 r. Przed dworem i wzdłuż ogrodzenia od ulicy 3-go Maja (wcześniej zwanej Pańską) rosły duże drzewa – jesiony i było dużo krzewów i zieleni otaczającego dwór spacerowego parku. We dworze mieszkali właściciele i mieściła się apteka z wejściem spod portyku. Po naszej stronie, w symetrycznym układzie dwa okna

po bokach ganku. Sypialnia rodziców po prawej stronie od przedpokoju i na lewo pokój jadalny. Moje ukochane okno na gazon było świetnym miejscem, z którego przyglądałam się życiu. Zasypiałam w małżeńskich łożach rodziców w obecności ukochanego ojca, który zawsze klęcząc obok odmawiał wieczorny pacierz. Nie pamiętam, by mi kiedykolwiek coś opowiadał, dlatego pewnie tak mało wiem o jego rodzinie.

Pokój moich braci sąsiadował przez ścianę z sypialnią rodziców, stąd świetnie wiedzieli co tam się dzieje. Niejeden raz bijatyki uprawiane nader często przez chłopców zmuszały ojca do interwencji. Słychać wtedy było w całym domu klap, klap… w jedną stronę, potem zalegała cisza i znów klap, klap – powrót, bez słów. Siostrę miałam okrutną. Nie pozwalała mi spać w pokoju przeznaczonym dla nas obu, straszyła mnie duchami, a jak beczałam, zawijała w kołdrę i znosiła na dół na kanapę. Wtedy był prawdziwy ryk i ojciec zabierał mnie z powrotem.

W przedziwny sposób z domem tym związało się kilka wątków mojego życia. Ale może po kolei.

Lata przedwojenne były syte i pełne radości, rytmiczne bo odmierzane czasem pracy ojca, na którego czekałam już w przedpokoju, zaraz po 15-tej. Takie było codzienne powitanie: ojciec unosił mnie wysoko, wysoko (miałam wtedy 4-6 lat), a ja pytałam o „losy” i „kaliptusy”, które zawsze dostawałam. Losy to

były jakieś niewykorzystane druki reklamowe banku, a „kaliptusy” – cukierki eukaliptusowe, moje ulubione do dzisiaj. W parę minut po przyjściu ojca zasiadaliśmy sześcioosobową rodziną do stołu, do obiadu. Zwyczaj wspólnych posiłków utrzymał się przez wszystkie wspólne lata. Przy dużym, dębowym stole stanowiącym komplet z innymi meblami rodziców, które ojciec sam projektował i dawał wykonać ze specjalną myślą o domu w Zamościu, każdy miał swoje stałe miejsce i swoją serwetkę obok talerza. Z rozczuleniem, po latach, odnalazłam ten zwyczaj w dalekiej Szwecji, w domu przyjaciół, u baronostwa Hermelinów, do których kilka razy jeździłam w latach 1967-1975.

Przed rozpoczęciem obiadu cała nasza czwórka według starszeństwa, ze mną na końcu, poddawała się torturom picia tranu, którego wprost nie znosiliśmy. Szykowano więc kosteczki chleba, solono czubeczek łyżki, zatykano nos i obiecywano np. pójście na ślizgawkę lub na kajak latem, byleby tran był wypity. Po takiej ceremonii rzucaliśmy się szybko do talerzy z gorącą zupą, by zabić oleistość i ten zapach… Po obiedzie, w zależności od pory roku i pogody wybieraliśmy się do ogrodu, w którym była altana z trejażu (treillage) obrośnięta pnączami i spacerowe alejki. Rosło dużo rzadkich gatunków krzewów, jak magnolie wielkokwiatowe, liany, octowce wówczas rzadkość i srebrne świerki. Ogród był zaplanowany i prowadzony jako spacerowo-dekoracyjny, z wysokimi szpalerami przycinanych grabów,

alejami i wystawą kwiatową na południe ku śluzie na Huczwie. Warzywnik był obok, odgrodzony. Właśnie na granicy parku i przy domu schodzącego warzywnika pamiętam tajemnicze wejście do lochów, o których moi bracia opowiadali dreszczem przejmujące historie. Śmiałkowie, którzy usiłowali zgłębić długość korytarza i kierunek, zawsze doznawali przykrych przygód: a to świece im zgasły, a to ktoś ich pobił lub nastraszył. Czy była to zwykła, dawna lodownia dworska, czy pozostałość piwnic starego zamku – trudno dzisiaj powiedzieć. Ślad po tym zaginął.

Stefan Du Château – profesor, konstruktor, architekt z Paryża wspominał podczas spotkania w Hrubieszowie, jesienią 1992 roku o swojej przygodzie, gdy młodzieńcem będąc wszedł w jakiś otwór lochów w rynkowych zakamarkach, a wyszedł gdzieś nad rzeką. Były więc z pewnością lochy pod częścią miasta, o czym wielu wspominało, jak chociażby Golejewski w „Pamiętnikach". Były, bo być musiały ze względu na konieczność ciągłej obrony przed Tatarami. Napadali i palili miasto 9 razy i dopiero Jan III Sobieski skutecznie położył temu kres w 1672 r.



Babunia, Maria Joanna Anzelmowa z Moszyńskich De Schmieden Kowalska z córkami. Siedząca (bez torebki) matka Teresy Żurawskiej.

Przypominam sobie zdarzenie z pierwszych miesięcy po opuszczeniu miasta przez wojska niemieckie w 1944 r. , rozpowiadane między ludźmi, którzy w środku słonecznego dnia zobaczyli starego człowieka wychodzącego z piwnicy wprost na ulicę. Był pergaminowo blady, przestraszony, słaby i zdeterminowany. Przechowywał się w lochach przez lata pogromu żywiąc się pewnie jabłkami i towarami, które tam magazynowano. Biedak, nawet nie wiedział, że wojna się dla tej

części Polski skończyła.

Te słynne podziemia mogą sięgać jeszcze XVI w. gdy Hrubieszów był warownią ze wspomnianym już zamkiem królewskim, założonym przez Władysława Jagiełłę w 1400 r. W imieniu monarchy rządy tą królewszczyzną, niezbyt cenioną, sprawowali starostowie. Toteż królowie zastawiali ją za grube pieniądze pożyczane od owych możnych starostów. O tym wszystkim dowiedziałam się już teraz, mając propozycję napisania referatu o dziejach Hrubieszowa w XIX w., gdy podlegał administracji carskiej Rosji. Sięgnęłam więc z zainteresowaniem do samych początków i szeroko otwierałam oczy dowiadując się, że był założony na wyspie otoczonej ramionami Huczwy, jej rozlewisk i bagien. Ostatnim prywatnym posiadaczem dominium hrubieszowskiego był sam ksiądz Stanisław Staszic, który właśnie tutaj założył pierwszą w Polsce spółdzielnię „Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie" (1816) uwalniając chłopów od pańszczyzny pół wieku wcześniej niż stało się to pod zaborami. Ziemia przeszła na własność chłopów, ale żeby to prawnie uczynić musiał najpierw nabyć ziemię na własność, a jako syn mieszczanina nie miał do tego tytułu. Starano się więc o to długimi zabiegami prawnymi, za pośrednictwem Ignacego Cetnera oraz jego córki Anny i wreszcie po latach doczekał się realizacji swojej idei. Chyba jednak we dworze nie zamieszkał, co najwyżej, mógł się w nim zatrzymywać lub na plebani, gdzie później urodził się Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).

Z dzieciństwa ostatnich lat przed II wojną światową pamiętam same dobre i szczęśliwe dni. Nasze spacery nad Huczwą, pływanie kajakiem hen daleko aż pod most kolejki wąskotorowej, kąpiel w bagnistej wodzie pełnej szuwarów, strzałki wodnej, nenufarów i innych zielsk, którymi oplatały się wiosła, a podczas kąpieli nogi grzęzły. Było tam malowniczo i jedynie w swoim rodzaju. Huczwa wiła się wśród łąk i pod zwisającymi nad nią starymi drzewami, którymi obsadzano kiedyś obrzeża ogrodów przydomowych na spadającym lekko stoku ulicy początkowo zwanej Młyńską.

Na spacery chodziło się po pachnących łąkach tak elastycznych, że odnosiło się wrażenie, że stąpa się po gumie – miękko i przylepnie. Tylko w okresach długiej suszy ziemia pękała tworząc szczeliny lub siatkę drobnych spękań. Były to wspaniałe torfowiska. Ojciec zabierał nas także na spacery do niezbyt odległego lasu, Bohorodycy. Podczas jednego ze spacerów, zauważyłam dziwne podenerwowanie ojca. Pierwszy raz wydał mi się zupełnie inny. Był zdenerwowany, wręcz wzburzony patrząc na rozbieraną w dali drewnianą cerkiewkę. Tumany pyłu co chwilę przysłaniały wyrazistość tego widoku. Słychać było trzask łamanego drewna i huk rzucanych belek. Tatusiu, dlaczego burzą kościółek? – zapytałam. Ci, to tylko wykonują polecenie, ale tamci nie mają racji – powiedział jakby do siebie ojciec. Nie rozumiałam wtedy kto są „tamci”. Ale więcej nie pytałam. Dzisiaj wiem, że był to wielki błąd polityczny, który

wkrótce odwrócił się zemstą i nienawiścią Ukraińców do Polaków – codziennie podpalane miasta i palenie okolicznych wsi. W latach okupacji dotkliwie to odczuwaliśmy. Zastrzelono np. doktora Kuczewskiego, który był opiekunem placówki PCK w Hrubieszowie, pomagał ludziom materialnie, leczył i chronił przed wywózką młodzieży do Niemiec na ciężkie roboty.

Z hrubieszowskich, przedwojennych lat pamiętam życie towarzyskie moich rodziców, oczywiście na miarę prowincji, ale bardzo ożywione. Mama należała do Sodalicji Mariańskiej – organizacji katolickiej skupiającej miejscową inteligencję i okoliczne ziemiaństwo. Organizowano tzw. „herbatki" z występami artystycznymi młodzieży, „opłatki" z choinką i śpiewaniem kolęd. Kiedyś i ja wygłosiłam wierszyk, ale z miernym efektem, bo zapomniałam dygnąć. Ile się potem w domu nasłuchałam od siostry! Kiedy indziej zapomniałam na początku powiedzieć autora czy tytułu – i znów była bura. Strasznie mnie to stresowało, a nikt nie pomyślał, że mam wrodzoną nieśmiałość, która mnie do dzisiaj paraliżuje w bardzo ważnych momentach życia. Pokonywałam samą siebie, ale ile to mnie kosztowało?... Przecież na całej mojej drodze zawodowej musiałam mówić stając przed ludźmi czasem niezwykłymi, słynnymi, już sama świadomość unieruchamiała mózg, a tu trzeba było trzymać się na nogach, nie wymachiwać rękoma, bez żadnego zbędnego gestu, dobierać odpowiednie słowa i przecież nie tylko polskie. Pokonanie tego wszystkiego i uruchomienie

szarych komórek z wiedzą natychmiast potrzebną – zawsze mnie drogo kosztowało i nigdy nie byłam z siebie zadowolona. Pochwał też nie było, czasem grzecznościowe podziękowania, z których naturalnie cieszyłam się, ale nigdy nie oczekiwałam. Moim spełnianiem się jest praca naukowa w bibliotekach, archiwach, poszukiwanie dokumentów, dochodzenie do prawdy historycznej, odkrywanie faktów dotąd nieznanych, pisanie o tym i opracowywanie w zaciszu domu czy pracowni muzealnej. Z wyborem zawodu trafiłam w dziesiątkę, chociaż nie była to pierwsza dziedzin z ulubionych. Jestem szczęśliwa i uważam, że swój czas wykorzystałam maksymalnie, nie marnując ani jednego dnia. Może to wszystko, co dał mi Hrubieszów ukierunkowało dalszą drogę, którą poszłam i dalej jeszcze idę. Taką prostą i przejrzystą, jak krajobraz znad Huczwy.



Mama (Eleonora Fabijańska) wącha różę

Najbardziej lubiłam okres przed Bożym Narodzeniem. Pierwszy śnieg, rześkie powietrze, wygwieżdżone niebo. Wieczorne zakupy w sklepach Hapońskiego i Baty, powrót do ciepłego domu z mnóstwem pakuneczków zawieszonych na ozdobnych sznureczkach, ładnie opakowanych. Jakiż Hrubieszów wydawał mi się wielkomiejski ze swoimi dziś nieistniejącymi, prywatnymi sklepami. Był ich cały szereg w zachodnim rogu dawnego rynku bardziej i mniej eleganckich, drewnianych witryn z perfumerią,

sklepem bławatnym i obuwniczym na czele. Cóż to była za radość i duma z posiadania pierwszych w życiu czarnych lakierek, kupionych specjalnie na ślub kuzynki Lili Piątkowskiej.

– O, właśnie widzę sznur sań dworskich, które zajeżdżały przed dwór z gośćmi weselnymi z odległego o 7 km Czumowa. Para Młoda podjechała najmodniejszym wówczas samochodem marki buck, na kołach o drewnianych szprychach, chyba jedynym jaki był w Hrubieszowie. Zdaje się, że właścicielem był pan Juliusz Du Château, gospodarz dworu. Przystanek z przebieraniem był u nas. Obserwowałam kreacje pań, fraki panów i usiłowałam sobie wyobrazić bal, na który mnie nie zabrano. Ale przy ślubie byłam ważna, prawie jak panna młoda. Niosłam długi, długi tren, a Dzidka Brojewska welon. Ach, co to był za ślub…! – Szereg par ustawionych w orszak zaczynał się przy ołtarzu, kończył pod chórem. Tata wbił się we frak, mama miała szytą specjalnie na tę okazję suknię z pięknego aksamitu w kolorze mchu z dodatkami z morelowej tafty. A więc kołnierz á la Maria Stuart, stojący, podbity taftą, dół sukni z trenem, udrapowany pasek zakończony był riuszką z tejże tafty. Te dwa kolory bardzo mi się podobały i stały się ulubionymi na całe życie. Uwielbiam też welury, miękkie aksamity, mięsiste i lejące, otulające sylwetkę.

Mama miała jeszcze drugą suknię, lżejszą, przygotowaną na wesele. Jedwab ciemno-szary w drobniutki biały wzorek. Przód był ułożony w draperię spiętą dużym, sztucznym srebrzystym

kwiatem. Nie pamiętam jej długości, ale chyba zgodnie z modą lat trzydziestych była długa i swobodna. Fryzura w głębokie fale na bok spadające. Włosy naturalnie srebrzące się (mama wcześnie osiwiała) długie, upięte w kok nad karkiem. Była taka ładna, ojciec był bardzo przystojny, postawny. Twarz spokojna, owalna o wysokim czole i niezbyt obfitym owłosieniu, zawsze uśmiechający się. Byli szczęśliwi. Siostra moja, Ela jako pierwsza drużka w różowej, dziewczęcej sukience suto marszczonej, podobnej do krynoliny, z dopasowanym gorsecikiem ozdobionym pękiem sztucznych, różowych różyczek i takimże wianuszkiem na czarnych włosach utrefionych przez fryzjera we francuskie loki, ściskała w dłoni torebeczkę – woreczek z tej samej tafty. Wszystkie te dodatki długo przechowywała w kwadratowym, eleganckim pudełku z ozdobnej złotym wzorkiem tektury, w którym przyjechały z Warszawy. Lili suknia chyba też była kupiona w Warszawie lub szyta. Biały atłas podkreślał jej kobiece już kształty, chociaż miała zaledwie lat osiemnaście. Długi rękaw, bez dekoltu, gładka i dopasowana z trenem. Welon dopasowany do kształtu głowy i delikatny, biały kwiat. Wacek oczywiście w czarnym fraku, wypomadowany i upudrowany. Był pedantem czystości i bardzo dbał o estetykę wyglądu. Był dużo starszy od Lili, miał chyba 30 lat i jako znakomity fachowiec, po rolniczych studiach zarządzał majątkiem ziemskim cioci Niusi, matki Lili. Nie taki mariaż marzył się cioci, a przede wszystkim nie zaraz po maturze. Ale małżeństwo okazało się trwałe. Mieli pięcioro dzieci (trzecie z kolei, maleńka Zosia zmarła w

niemowlęctwie). Czwórka udanych, zdolnych, zaradnych chowała się dobrze, troje jeszcze żyje: Maryla, Andrzej i Jaś. Wacek po ślubie usamodzielnił się, najpierw jako zarządca majątku w Trzeszczanach, a wkrótce jako dziedzic na Wiszniowie.

Wracając do pamiętnego ślubu, jako dziecko przeznaczone do niesienia trenu, ubrana byłam w lekko kremową jedwabną sukienkę z koronkowymi falbankami, wiązaną z tyłu na kokardę. Kokarda w kształcie motyla siedziała także na mojej czarnej łepetynie. Białe pończochy i czarne lakierki dopełniały całości. Dzidka miała błękitną, aksamitną sukienkę z karczkiem i szczypankami, na których przede wszystkim rzucały się w oczy kolorowe, haftowane pajączki. Takie sukienki ozdobione białym kołnierzykiem bebe ogromnie były modne i kupowało się je gotowe sklepach. Dzidka miała przywiezioną z Warszawy. Podczas ceremonii ślubnej odbywającej się wieczorem 2 lutego 1938 r. kościół św. Mikoła w Hrubieszowie, tonął w światłach i świecach. Wszystko, co było możliwe, jasno się paliło. Wypełnili go licznie zebrani goście weselni i zwykli gapie. Przejęta swą rolą, czułam się jak aktorka, na którą wszyscy patrzą. Starałam się więc nie ruszać, nie rozglądać i być poważną. Ile miałam wtedy lat? – a no pięć i pół. Po uroczystości w kościele weselnicy odjechali do pobliskiego Czumowa na wesele w pałacu. My, dzieci, zostaliśmy w domu. Odczułam z tego powodu wielką niesprawiedliwość, tym bardziej, że Dzidka została zabrana, a przecież obie byłyśmy rówieśniczkami. Takie to były pierwsze,

dziecięce gorycze, których nie zwierzyłam nikomu. Może nie miałam odwagi?

Z czasów przedwojennych pamiętam święta te największe i te państwowe, jak Konstytucji 3-go Maja bardzo uroczyście obchodzone. Również Boże Ciało kiedy to sypałam kwiatki podczas procesji w białej sukience i w wianuszku. Zachowało się amatorskie zdjęcie naszej czwórki siedzącej na stopniach ołtarza, który umieszczono na naszym ganku. Ostatnia Wielkanoc zapisała się w mej pamięci obfitością stołu wielkanocnego, którym było biurko taty stojące między oknami w jadalni. To było prawdziwie dworskie święcone. Na białym obrusie stały baby lukrowane i ozdobione skórką pomarańczową (cykatą), kiełbasa biała zwinięta w wianuszek utopiona w smalcu, szynka w całości gotowana, pasztet szpikowany paseczkami słoniny wyglądający jak tort, obok na tacach mnóstwo mazurków, na środku duży biały baranek z chorągiewką czerwoną i złotym krzyżem na niej malowanym i kolorowe jajka – kraszanki. Barwinek z ogrodu, pierwsze, wiosenne kwiaty (Wielkanoc w 1939 r. była 9 kwietnia) uzupełniały tę bardzo smakowitą kompozycję. Poświęcił nam to wszystko ksiądz prałat Melchior Juściński, z którym rodzice przyjaźnili się. Przez długie lata był proboszczem w Hrubieszowie.

Moje lalki też miały święcone: miniaturowe jajeczka, łeb świński, różową szynkę i mazurki – wszystko z marcepanu, przysłane

przez ciocię Milusię, mamy siostrę z Warszawy. W pamięci hrubieszowskich lat dziecięcych zostały także zabawy. Te w ogrodzie z braćmi i te bardziej przeze mnie lubiane z Olesiem Du Château np. w „panią i szofera” na starej platformie do rozwożenia piwa i wód gazowanych, która stała pod wiatą w podwórzu.

Chodziliśmy czasem do apteki i tam ciocia Gienia (ciocia Olesia – farmaceutka) dawała nam sok malinowy do okrągłych białych opłatków, w które apteki sypały zazwyczaj medyczne specyfiki. Nam to bardzo smakowało. Nawiasem mówiąc prywatna apteka rodziny państwa Du Château istniała w Hrubieszowie w tym dworze od 1850 r. od kiedy i dwór zaczął należeć do tej francuskiej rodziny, która wybrała Polskę na drugą swoją ojczyznę. Zajmowała dużą część lewego parteru z wnętrzami przesklepionymi i obszernymi. Rodzice Olesia i maleńkiego wówczas Jasia, państwo Maria z domu Mazaraki i Juliusz Du Château mieszkali do 1939 r. zajmując najpiękniejsze wnętrza od frontu i od ogrodu z wejściem przez taras. Urządzone były z ogromnym smakiem, stylowo i po dworsku z salonem na osi, w którym stał fortepian, z sypialnią po stronie apteki, jadalnią od kuchni w dobudówce o płaskim dachu i z pokojami dzieci od frontu. Przed tarasem rosły piękne magnolie, srebrne świerki i zataczały półkole grabowe szpalery. Góra dworu – piętro, w tych latach nie było zamieszkane.



Rodzina Fabijańskich: mama (Eleonora), Witek (Wiktor), tata (Józef), Julek (mały – Juliusz) i Ela (Elżbieta)

Kiedyś była większa wyprawa w tę część, którą zapamiętałam jako niezwykłą przygodę. Wydawało mi się, że znalazłam się w bajkowym świecie. Do dzisiaj jawi mi się jak sen. Ściany hallu wyłożone zszarzałą, biało lakierowaną boazerią, udawały pewną przytulność wnętrz. Stąd rozchodziło się mnóstwo pomieszczeń. Czułam specyficzny zapach staroci i rozsychającego się drewna. Przez uchylone drzwi ukazał mi się pokój dziecinny pełen starych, nieużywanych zabawek. Jednak ktoś tam utrzymywał

porządek, sprzątał, odkurzał, bo nie robiło to wrażenia rupieciarni, raczej kultu dla pamiątek po kimś. To był zaczarowany świat, do którego bałam się wejść. Podłoga skrzypiała za każdym stąpnięciem. Deski (zapewne kiedyś przykrywał je dywan) też były malowane. Zabawki cudowne, jakich nigdy w życiu nie widziałam, zdradzały zamożność domu i nie przypominały tych ze sklepów. Jak w „Laleczce z saskiej porcelany" czy „Wieszczce lalek", których wtedy jeszcze nie znałam, jawił mi się ciemnozielony kufer pełen pajacyków, kolombin, arlekinów, lalek w krynolinach i w białych peruczkach. Chciało się pociągnąć za sznurki, by zaczęły tańczyć, ruszać się i śpiewać. Była też mała scena dla kukiełek z jedwabną, rozsuwaną kurtyną. Inne zabawki leżały na półkach: żołnierzyki w strojach z okresu Księstwa Warszawskiego, dobosze, książę Józef Poniatowski na koniu. Szabelki, konie na biegunach i porcelanowe lalki o słodkich buziach z prawdziwymi włosami, przepięknie ubrane w koronkowe suknie – to było czarujące spotkanie z przeszłością.

Po trzydziestu latach, ten obraz spowodowany jasnym kolorem i zapachem rozsychających się boazerii, powrócił tak wyraziście w Petit Trianon Marii Antoniny, bardzo wówczas zaniedbanym (1969). Nasunęło mi się skojarzenie, jakiego doznałam w czasie zwiedzania. Oczywiście inny czas, inny poziom artystyczny, ale duch wnętrz ten sam, duch na wskroś francuski.

Zabawy z braćmi bywały łobuzerskie, szczególnie te w ogrodzie. Huśtanie się na lianach, które łącznie z drzewami tworzyły gąszcz na obrzeżu nad śluzą, wysokim i stromym, powodowały obrażenia, podrapania i sińce, za co obrywaliśmy niezłą burę.

Gorsza w skutkach była jednak wojna na grudy gliny, które najpierw jako amunicję pracowicie zbieraliśmy na stoku. Wysmarowani, zmęczeni wracaliśmy do domu, gdzie o dziwo (!) czekała tylko ogromna blaszana wanna i kąpiel po kolei od najmłodszego do najstarszego. Dzisiaj takie praktyki wydają się być super niehigieniczne. A jednak byliśmy czyści i zdrowi. Kąpiel w wannie nie była taka prosta. Studnia na pompę żeliwną, bardzo ciężko chodzącą, znajdowała się, po drugiej stronie ulicy. Trzeba było wodę nanosić wiadrami, nagrzać w kociołku. Wanna była duża, bez odpływu, dlatego wodę z niej wylewało się czerpakiem do zlewu. Konieczne czynności wykonywała z godnością, dziobata jak durszlak gosposia zwana Aleksandrową. Każdorazowe wyjście na ulicę obligowało ją do zmiany stroju na wyjściowy i poprawienia makijażu, a nakładała grubą warstwę różu, by choć trochę przykryć skutki strasznej choroby zwanej ospą. Zawsze przyglądałam się z niemałym podziwem, jak ona to szybko robiła.

Nasze czteropokojowe mieszkanie z kuchnią, przedpokojem i gankiem było urządzone prosto i skromnie. Dębowe meble z epoki modernizmu, robione na specjalne zamówienie ojca do

zamojskiego domu, bardzo pasowały i do tego również dworku. Zielona otomana z wysokim zapleckiem, pokryta obiciową tkaniną podobną do strzyżonego pluszu, w dotyku szorstkiego, stała na dużym, zielonożółtym dywanie. Obok kąt zajmował komplet salonikowy, skąpo tapicerowany i kryty wełnianym pasiakiem z przewagą zieleni, jakby nawiązującym do łowickich zapasek. Pod oknem frontowym stało mamy biurko z mnóstwem szufladek, a pod nim pokój miały moje lalki i nawet światełko elektryczne zrobił mi Witek z bateryjki od latarki. Na środku stał duży stół, normalnie sześcioosobowy, a w razie potrzeby rozsuwany na dodatkowe 4-6 osób. Między dwoma oknami od ogrodu warzywnego, znajdowało się ogromne biurko taty i w kącie kredens. W oknach wisiały muślinowe, białe firanki, podpięte po bokach. Nasze meble, wszystkie zostały zaprojektowane przez ojca, był utalentowany artystycznie i w młodości próbował i malować i rzeźbić. Wielka szkoda, że nie mógł z powodu I wojny światowej rozwinąć swych zdolności.

Babunia, Władysława z Taczanowskich Fabijańska wcześnie owdowiała, gdy syn miał zaledwie 9 lat, a młodsza córka Janina zaczynała chodzić do szkoły. Stało się to nagle, podczas świąt Bożego Narodzenia w Poturzynie, dokąd pojechali w mroźną i śnieżną porę do rodziny sankami. Dziadek, który siedział obok stangreta i zabawiał go rozmową po tej podróży, zachorował na gardło. Silna gorączka, brak lekarza, może i zlekceważenie czy zbagatelizowanie nagłej choroby spowodowały zgon. Został

pochowany w Oszczowie koło Poturzyna, bo tam była parafia i cmentarz. Próżno po latach na tym wiejskim cmentarzu szukaliśmy grobu dziadka. Nigdy wcześniej nikt mnie tam nie zawiózł.

Wspomnienia ukazują się w trzeci piątek miesiąca.

Poprzednia część wspomnień „Z rodzinnego albumu”:

https://www.cultureave.com/z-rodzinnego-albumu-zamosc/

O Czumowie:

https://www.cultureave.com/polskie-siedziby-rodzinne-czumow/

Wiek i twórczość



Wilek Markiewicz, olej na płótnie

Wilek Markiewicz *(Toronto)*

Hokusai rzekł: „Od siedemdziesiątki zaczynam się uczyć”. Mój europejski przyjaciel-artysta rzekł: „Od czterdziestki artysta staje się przesycony i resztę swego życia poświęca na powtarzaniu się”.

Dla mojego przyjaciela sztuka jest przede wszystkim psychosomatyczna, nawet jeśli jest niekoniecznie obznajomiony z terminem; twórczość się rozwija i nawet wybucha, jak długo primordialne siły organiczne pozostają do dyspozycji. Idea twórczości o naturze organicznej mogła się narodzić na

Zachodzie, ponieważ, odwrotnie niż na Wschodzie, twórczość od początków była bardziej połączona z rzemiosłem niż z filozofią. Sztuka na Zachodzie poszła własną nieprzewidzianą drogą, a zachodni twórca uprawiał sztukę spontanicznie – intuicyjnie, jak Monsieur Dupont Moliera uprawiał prozę.

Nastawienie wschodniego artysty do sztuki pozostaje czysto filozoficzne, co nie tylko odrzuca konflikt między starzeniem się a twórczością, lecz nadaje wartość czasowi, a tym samym starzeniu się. Jest prawdą, że zachodni twórca – Tycjan, wołał przy dziewięćdziesiątce: „Dajcie mi dziesięć lat i będę wiedział jak malować", lecz nastawienie Tycjana nie było filozoficzne. On reprezentował siłę natury, był tytanem, który odrzucał fizyczne i psychologiczne starzenie się. Wschodni twórca, nie spiesząc się, szuka w twórczości osiągnięcia perfekcji egzystującej w jakiejś ezoterycznej, ponadludzkiej sferze. Zgodnie z tym pojęciem, człowiek z własnej winy utracił łączność z Doskonałością, czyli z rajem i wschodni twórca czuje jakby religijny obowiązek powrotu do Doskonałości z pomocą dyscypliny i wieczystych reguł przekazywanych przez Mistrza. Dla wschodniego twórcy więc, ewolucja nie jest pójściem naprzód lecz powrotem wstecz, ku mistycznemu źródłu, w celu połączenia się z pierworodnym, statycznym ideałem. Natomiast dla twórcy Zachodu, sztuka rośnie organicznie, idąc bardziej drogą impulsu niż reguł. Nie „mądrości" szuka młody zachodni twórca; dla niego sztuka jest nieprzewidzianą tajemnicą. Wschodni twórca zaś nie przewiduje

niespodzianek, lecz, przy pomocy Mistrza, dojście do doskonałości.

Zachodnia koncepcja nauki jest podobna do koncepcji sztuki, z tym że obie odrzucają koncepcje „mądrości” (wisdom). Naukowiec poszukuje praktycznych formuł ku postawionym najbliższym celom. Różnica między artystą i naukowcem w kulturze zachodniej jest taka, że naukowiec działa głównie na poziomie mózgu, zaś artysta – intuicji i impulsów.



Wilek Markiewicz, rysunek

Poeta i emigrant

o wojennej przeszłości – Wojciech Gniadczyński



Wojciech Gniadczyński, fot. arch. Floriana Śmieji

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Mój kanadyjski znajomy Richard Newman napisał biografię Almy Rosé, zmarłej w Auschwitz austriackiej skrzypaczki, dyrygentki żeńskiej orkiestry obozowej. Pracował nad książką rzetelnie i długo. W czasie tego procesu wspomniałem mu o moim przyjacielu ze studiów Wojciechu Gniatczyńskim (1924–1985), który być może uratował życie, grając w zespołach obozowych w Auschwitz i Dachau. Pokazałem mu też jeden z obozowych wierszy Gniatczyńskiego, który w moim przekładzie na angielski Newman zacytował w swojej książce. Ta ukazała się dopiero w 2000 roku jako „Alma Rosé: Vienna to Auschwitz” i

jest tłumaczona na inne języki, m.in. na język hebrajski. Ciekaw jestem, czy zachowano go również w przekładzie tej książki na hebrajski?

W 1947 roku po demobilizacji w Anglii pojechałem na studia do irlandzkiego miasta Cork, w grupie polskich studentów, wybranych przez katolicką organizację Veritas z Londynu, spotkałem Wojciecha Gniatczyńskiego. Był to wysoki, przystojny brunet, raczej nieśmiały, który zapisał się na pierwszy rok humanistyki, studiując nowożytne filologie i historię. Chodziliśmy wspólnie na wykłady i mieszkaliśmy w polskiej bursie. Nie wiedziałem prawie nic o jego przeżyciach wojennych, a on niewiele na ten temat mówił.

Od początku nabrałem do niego sympatii i respektu. Odczuwalna była jego dobra kindersztuba, ale nad zdrowiem ciążyły lata życia w obozie koncentracyjnym. Dyrektor Radia Wolna Europa Jan Nowak dorzucił po zgonie swojego wieloletniego współpracownika kilka szczegółów, które zacytuję:

W czasie II wojny światowej był uczniem tajnego gimnazjum w okupowanej Warszawie, gdzie aresztowany został przez Niemców wraz z całą rodziną: matką, babką, bratem i wujem… Aresztowanie było przypadkowe… rodzina została wywieziona do Oświęcimia. A ponieważ okazało się, że aresztowana babka była rodowitą Niemką, więc zaofiarowano wszystkim zwolnienie, jeśli

zgodzą się podpisać volkslistę. Solidarna odmowa całej rodziny miała skutki tragiczne. Babkę, matkę i brata posłano do komory gazowej. Wojtek został sierotą. Do końca życia przechowywał pożegnalny list matki, napisany przed egzekucją.

W 1950 roku po ukończeniu licencjatu w Irlandii obaj wróciliśmy do Londynu. Ja dostałem paroletni lektorat w Szkole Nauk Słowiańskich, Wojtek miał trudności ze znalezieniem pracy, bo były to czasy, kiedy cudzoziemiec-humanista nie znajdował na Wyspach Brytyjskich posady. Zatrudniło go polskie wydawnictwo Veritas, które publikowało w Londynie tygodnik „Gazeta Niedzielna" oraz miesięcznik „Życie". Dla zdemobilizowanych kombatantów zaczęto tam także drukować polskie książki. Gniatczyński zamieszkał w Londynie w tzw. kahale, we wspólnym mieszkaniu z Januszem Jasieńczykiem (Poray-Biernackim) i Olgą Żeromską. Był to jednak okres biedowania i nikłych możliwości. Lepsze finansowo czasy miały dopiero nastąpić, kiedy zaproponowano mu wyjazd do Radia Wolna Europa do Monachium. Tam, ożeniwszy się i doczekawszy po latach narodzin córki Magdaleny, pracował do śmierci.

Już przed wyjazdem do Niemiec Wojtek zaczął brać udział w kiełkującym w Londynie literackim życiu młodych. Przychodził na spotkania Koła Polonistów funkcjonującym przy Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie, a będącym pod opieką

Józefa Bujnowskiego. Zaczął udzielać się w ankietach i polemikach ogłaszanych w „Życiu Akademickim”, zabrał głos na temat nieporozumień między pokoleniami na emigracji, fascynował go język polski, zaczął przekładać poezję i prozę świata anglosaskiego. W 1954 roku został nagrodzony za rokującą nadzieje prozę na konkursie młodych zorganizowanym przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie. W tym samym roku debiutował tomikiem wierszy Próby. Książkę ładnie wydało Polskie Towarzystwo Literackie, wydawnictwo zorganizowane przez Józefa Bujnowskiego.

Z Wojtkiem łamałem w drukarni Veritasu studenckie pismo „Życie Akademickie” i spotykałem się w kawiarni Dakowskiego na South Kensington z popularnym w tym czasie komediopisarzem Napoleonem Sądkiem i świeżo przybyłym z Polski Ferdynandem Goetlem. Często Wojtek przytaczał opinie o literaturze tego ostatniego. Powtarzał jego dictum, że dla pisarza autopsja nie była najważniejsza, bo przecież Szekspir nie był królem i że właściwą książkę o II wojnie światowej napisze prawdopodobnie ktoś z młodszego pokolenia, kto tej wojny nie zaznał. Obdarzony darem celnego słowa, był znakomitym gawędziarzem. Język znał świetnie, kochał muzykę i malarstwo. Pisał raczej mało i teksty swoje przetrzymywał do jakichś dogodniejszych czasów. W jednym z ostatnich listów donosił, że lekarze wreszcie postawili właściwą diagnozę jego choroby. Planował przejść na wcześniejszą emeryturę, aby pisać i

wydawać. Do dziennikarstwa przyłożył się z entuzjazmem i pracował lojalnie, ale myślał także o nauczaniu i napisaniu pracy doktorskiej. Mówił nawet o jej temacie, mieli to być angielscy aktorzy w Polsce w XVI wieku.

Pracując w Radiu Wolna Europa, trzymał rękę na pulsie sytuacji w Polsce z tragicznym epizodem stanu wojennego. Straszyło go widmo zadłużonej Polski i braku planu wyjścia z katastrofy gospodarczej. Na emigracji widział kurczenie się polskiej prasy kulturalnej i wymieranie ludzi ofiarnych i oddanych pracy społecznej. Choć w 1954 roku wyjechał z Anglii, interesował się pismami, z którymi współpracowałem. Były to czasy pierwszych prób nawiązania kontaktów z naszymi kolegami po piórze w Polsce. Spotkało się to z jego krytyką. Nieraz w listach wytykał nam młodzieńczą łatwowierność i ślepotę. Nawiązując do metafory, którą wybraliśmy do nazwania pierwszej antologii naszych wierszy „Ryby na piasku”, napisał:

> Zawsze… zarzucałem „Rybom na piasku”, że obojętnie płyną swoimi rzeczułkami, nie zważając na trzepotanie się w pobliżu innych rybek, złapanych w sieci przez totalistów. Czerniawski pisze, że Iwaniuk oskarża komunistów, a nie widzi niesprawiedliwości w Kanadzie. Przecież porównywanie jednego z drugim to wierutne głupstwo. No właśnie: to jest to, czego nigdy nie rozumiałem.

Gniatczyński miał dla poezji wielkie poważanie. W londyńskim „Pamiętniku Literackim” nazwał ją żywicą, wyciekającą z pękniętej kory. Pisał, że daremnie żądać od poety, by jego dzieło odzwierciedlało rzeczywistość, jak się tego obecnie wymaga.

> Poeta tak przystosowuje fakty i swoje doznania do dzieła i tak je przetwarza, że w końcu sam już nie rozpoznaje, co przeżył naprawdę, a co zmyślił, czyli przeżył w wyobraźni.

A te uczucia, które czytelnik znajduje w poezji, powiada, są niesprawdzalne i indywidualne. Interpretowanie poezji jest bardzo wątpliwym zajęciem. Krytykował polonistów także za to, że rzadko głoszą, iż sztuka, a więc także poezja, jest radością, a nie próbką do analizy. I daje przykład: „Ptaka, żeby naukowo zbadać, trzeba zabić. Podziwiać można tylko żywego”. Z Northropem Fryem zgodził się, że poeta dobiera słowa do słów.

> Wystarczającym, całkowitym i jedynym materiałem dowodowym dotyczącym intencji twórcy jest jego dzieło. Poezja usiłuje wyrazić niewypowiedziane, niewyrażalne. Jest nim.

Skłania się też do powrotu do myślenia magicznego, do przedracjonalnego, całościowego patrzenia na świat, bo nie opuściły one nigdy ani sfery poezji, ani języka religii. Wieloznaczność jest tu wielce pomocna, bo pochodzi z działania sił językowych. Poezja stwarza i staje się doświadczeniem, odwołując się do świadomości, a nie do intelektu. Poeta Gniatczyńskiego odkrywa nowe znaczenia i tworzy materię poezji, a wtedy jest to poezja prawdziwa i daje wszystko, odbiorca już nie potrzebuje niczego poza nią szukać.

Ale kiedyś w liście wyznał:

> Moim zdaniem w poezji nie ma miejsca na słowa dziwne, na popisywanie się leksykologiczne… prawdziwa poezja to poezja najprostsza – ale nie tą kłamaną prostotą Kasprowicza, tylko prostotą Mickiewicza… „Polały się łzy me" – to właśnie poezja.

Pierwszy tomik poezji „Próby", drukowany w Londynie w 1954 roku, zawiera wczesne wiersze, pisane we Włoszech, Irlandii i Londynie. Te debiutanckie teksty nacechowane są młodzieńczą melancholią, zastanowieniem nad dziwnością świata i złożonością życia. Wszak już wtedy poeta rozróżniał doświadczenia, jak choćby dymu. „Dym, znak życia. Dymiący komin to znaczy ciepło, kobieta przy piecu" i dym inny. „Dym

śmierdzący, żółty – z krematorium”. Poznał też już obcość wielkiej metropolii, samotność, udrękę miłosną.

_____

Inny artykuł prof. Floriana Śmieji o Wojciechu Gniadczyńskim (1924-1985):

https://www.cultureave.com/klarnecista-z-auschwitz-wojciech-gniadczynski-1924-1985/

Bagaże literackie



Leszek Żuliński

Z Anną Marią Mickiewicz znam się od wielu lat. Jednak tylko na odległość, bo ona mieszkała w Kalifornii, a teraz w Londynie. Kontakt utrzymujemy.

Debiutowała tomem wierszy pt. *Dziewanna* w 1984 roku. Teraz nieustannie jest aktywna. Zabrakłoby mi tu miejsca, aby opisać jej niespożytą aktywność. Dodam jeszcze tylko, że jest członkiem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (założonym w 1945 roku w Londynie).

Otrzymałem niedawno nową książkę Pani Mickiewicz, która –

cytuję:

> przedstawia sylwetki polskich pisarzy, między innymi: Ewy Lipskiej, Tadeusza Różewicza, Sławomira Mrożka, którzy odwiedzili Londyn oraz emigracyjnych: Krzysztofa Muszkowskiego, Krystyny Bednarczyk, Ireny Bączkowskiej.

Zwłaszcza ucieszyło mnie nazwisko Krystyny Bednarczykowej, ponieważ małżeństwo Państwa Czesława i Krystyny Bednarczyków (prowadzących przez lata Oficynę Poetów i Malarzy) znałem od lat i utrzymywałem z nimi kontakt. To była wspaniała para literacka.

Minęły lata… Bagaże literackie narastają i stąd ta książka. Znakomicie, że Pani Mickiewicz na nią wpadła, bo to ważna opowieść o polskich pisarzach za Wielką Wodą. No, niby do Wielkiej Brytanii jest mały skok, a warto, bo tamtejsza nasza enklawa to kawałek polskiej literatury.

Ten solidny tom ma pięć rozdziałów: *Sylwetki*, *Pisarze emigracyjni*, *Eseje*, *Varia* i *Dokąd zmierza literatura emigracyjna*. Dla nas – tutaj – najciekawsza może być ta ostatnia część. Dowiadujemy się, że powstała w Londynie strona internetowa Fale Literackie. To – cytuję:

> jest międzynarodowy ruch, zapoczątkowany w 2012 roku, który ma na celu wykreowanie przestrzeni, w której będzie możliwa wymiana idei, artystycznych inspiracji, która wesprze współczesnych polskich literatów w upowszechnieniu ich prac i osiągnięć artystycznych.

Cała ta polska enklawa jest niesamowicie zwarta i aktywna. Jak wiadomo, Polacy są porozrzucani po całym świecie, ale londyńskie skupisko przerasta wszystkie inne. Pani Mickiewicz to *spiritus movens*. Ona jest niesłychanie zaangażowana w konsolidację naszych literatów za granicą.

A więc mamy angielski, ale polski, ruch literacki. Rodziły się nawet różne a ważne wydarzenia, czasami pod auspicjami UNESCO.

Czytając tę książkę, aż nie mogłem uwierzyć, że jest tam „druga Polska literacka" – kulturowo zorganizowana i aktywna. Pisarze emigracyjni tworzą! To wielce piękne i poruszające – okazało się, że nie tylko „arbajt" jest naszą domeną.

Czytam:

> Ważnym elementem zmieniającym mapę literacką na

> emigracji było wstąpienie Polski do struktur Unii Europejskiej w 2014 roku. Do wielu krajów Europy napłynęły młode fale emigracyjne, a wraz z nimi twórcy, którzy zaczęli organizować własne struktury. Do najbardziej widocznych należała PoEzja Londyn założona przez Adama Siemieńczyka i Marię Siemieńczyk Brassart. Fale Literackie podjęły współpracę z PoEzją Londyn.

Miotam się tutaj z wyborem tego, co chciałbym jeszcze napisać. Ale nie sposób wszystkiego ogarnąć w tej recenzji. A piszę ją, bowiem tu, na miejscu, nie zdajemy sobie sprawy, że literatura polska przekroczyła aż tak polskie granice.

Ta książka jest bezcenną dla nas informacją o tym, że polska literatura jest i może być wszędzie. I nie jest ważne, że czasem uciekamy choćby za kanał La Manche lub za ocean – nasi emigranci są etykietą naszej kultury.

A na zakończenie chciałbym jeszcze przybliżyć Annę Marię Mickiewicz jako poetkę. Oto jej bardzo piękny wiersz pt. *Słoneczny dzień w Davis*. Oto on:

> Odchodzą na chmurach
>
> Wiosennie lekko niezauważalni aniołowie słów kilku

Białych słabych

Odchodzą z dużych białych kalifornijskich domów

Ogrodów nawadnianych sztuczną rosą

Odchodzą pokornie pochyleni

Dbający dobrzy ludzie małych miast

Podlewający na balkonach pelargonie w letnie dni

Gdy o chłód trudno nawet wieczorem

Odchodząc

Uścisną ręce pokiwają głowami zasmucą się

Odchodząc zostawiają widok Matki Boskiej na konarze drzewa

> Lękali się tego białego proszku który spadał ukradkiem na
>
> błyszczącą blachę samochodu.
>
> Tak im się wydawało…
>
> A może to my zaślepieni nie widzieliśmy tych znaków?
>
>
>
> Odchodzą



Anna Maria Mickiewicz, *Londyńskie bagaże literackie*, Publisher: Dreammee Little City, Orlando-Londyn 2019, s. 148

„Gry miłosne” w Chicago

Z wielokrotnie nagradzanym amerykańskim pisarzem i reżyserem polskiego pochodzenia, Mariuszem Kotowskim – rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.



Mariusz Kotowski, fot. J. Sokołowska-Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

W marcu w Copernicus Center w Chicago będzie miała premierę twoja najnowsza sztuka teatralna „Gry miłosne”. Sądząc po tytule można się domyślać, że jest to komedia romantyczna, napisana z okazji Walentynek. Czy tak jest w istocie?

Mariusz Kotowski:

Myślę, że to jest raczej tragikomedia albo komedia psychologiczna. Ma uniwersalne przesłanie. Powinna podobać się publiczności, bo każdy znajdzie w niej coś ze swojego życia. Jedna z bohaterek – Izabela w pewnym momencie mówi, że miłość, jest jak gra w karty, wygrywa ten kto ma mocniejszą kartę. Na tym można zbudować intrygę i pokazać perypetie bohaterów.

Jak w „Skizie" Gabrieli Zapolskiej, która to sztuka cię zainspirowała.

Tak, studiowałem Gabrielę Zapolską, bardzo lubię jej twórczość. Jest ona interesująca pod względem psychologicznym, pokazująca ludzi takich, jacy są. Natomiast same sztuki według mnie są płaskie, nie koniecznie zagłębiają się w psychologię. Taka zresztą była wtedy konwencja teatralna. Ja, inspirując się Zapolską idę dalej i staram się pokazać różne pokłady emocjonalne, które tkwią w bohaterach. Korzystam też ze współczesnych sytuacji życiowych i na nich bazuję.

Na czym polega intryga w sztuce?

W 2017 roku byłem w Polsce, w Józefowie pod Warszawą. Tam przyszedł mi do głowy pomysł na tę sztukę i tam zacząłem ją pisać. Dlatego akcja rozgrywa się właśnie w Józefowie.

W sztuce występują dwa małżeństwa. Do młodszej pary – Patrycji i Huberta, przyjeżdżają na weekend ich starsi kuzyni – Izabela i Fabian. Na początku wszystko wygląda niewinnie, jednak w czasie tego weekendu dużo się wydarzy. Fabian rozkochuje w sobie młodą i naiwną Patrycję, jego żona Izabela, cały czas manipulująca sytuacją, w pewnym momencie jednak straci kontrolę i się orientuje, że gra może przestać być grą, a Fabian naprawdę może ją zostawić dla Patrycji. Patrycja jest naiwna życiowo, nigdy nie spotkała nikogo, kto by nią manipulował i miał złe zamiary. Idzie do Fabiana, bo tak jej mówi ciocia Izabela. Gdy jednak zdaje sobie sprawę z tego, że wszystko to jest tylko gra, dojrzewa i staje się inną osobą, dużo bogatszą o życiowe doświadczenie. Gdy ciotka z wujkiem wyjeżdżają, wszystko wraca do normy. Po tych perypetiach młoda para dochodzi do wniosku, że wprawdzie huragan przeszedł przez ich dom, ale oni będą żyć dalej, silniejsi i dojrzalsi.

Czym się kierowałeś pisząc tę sztukę?

Najbardziej interesowało mnie do jakiego stopnia można być naiwnym. Gdyby Patrycja w „Grach miłosnych” nie była naiwna i niedoświadczona, potrafiłaby postawić wyraźne granice i nie pozwoliłaby na manipulację. Ale ona musiała się dopiero tego nauczyć. Mam nadzieję, że i dla widzów będzie to jakaś lekcja.



Julita Mroczkowska (Izabela) i Maciej Góraj (Fabian) podczas próby do sztuki Mariusza Kotowskiego „Gry miłosne”

W sztuce występują aktorzy z Chicago – Julita Mroczkowska i Maciej Góraj oraz Lukrecja Wilk i Marcin Kowalik.

Cieszę się, że do mojej sztuki udało się zaangażować świetnych aktorów. Maciej Góraj był bardzo znany w Polsce. To aktor filmowy, telewizyjny i teatralny, który w latach 70. uważany był za jednego z bardziej obiecujących aktorów młodego pokolenia. Występował w Warszawie w Teatrze Narodowym i Powszechnym, a w Łodzi w Teatrze Nowym. Ma bogatą filmografię. Julita Mroczkowska też jest aktorką zawodową, świetną interpretatorką piosenki aktorskiej. Niestety, ponieważ

w Chicago długo nie było polskiego teatru, aktorzy ci głównie skupiali się na czytaniu wierszy, a nie graniu na scenie.

W tamtym roku, doceniając zasługi Julity Mroczkowskiej i Macieja Góraja, przyznałeś tej parze aktorów nagrody im. Poli Negri, ustanowione zresztą po raz pierwszy. To wspaniała idea.

Myślę, że przyznanie nagrody pomogło im stać się rozpoznawalnymi. Wiele osób mi mówiło, że nie wiedziało, że w Chicago mieszkają tacy świetni aktorzy, zwrócili na nich uwagę właśnie dzięki temu wyróżnieniu. Ludzie często nie zdają sobie sprawy, kogo mają w swoim środowisku, jeśli ta osoba nie ma okazji, żeby się pokazać od strony zawodowej. Skoro w Chicago nie było reżysera, ani producenta, to aktorzy nie grali na takim poziomie, na jakim mogliby grać.

Przyjechałeś do Chicago z Austin w Teksasie w ubiegłym roku i założyłeś Polish American Actors Theatre. Zacząłeś od wystawienia sztuki Gabrieli Zapolskiej „Ich czworo", za miesiąc będzie wystawiana twoja sztuka „Gry miłosne". Czy Chicago to dobre miejsce, aby działał tu polski teatr?

Teatr powstał w styczniu 2019 roku. Chciałem pracować z aktorami, a w Chicago mieszka duża Polonia, miasto to nadaje się więc do realizowania takich planów. Bardzo długo byłem

związany z postacią Poli Negri, napisałem o niej książkę, zrobiłem też parę filmów i przyszedł taki moment, że chciałem wyjść z myślenia pisarskiego oraz obracania się wokół tego samego tematu. Potrzebowałem pracy z ludźmi. Stąd decyzja o założeniu teatru.

Czy idea teatru spotkała się z aprobatą polskiego środowiska w Chicago?

Myślę, że tak, świadczy o tym chociażby sukces „Ich czworo” Gabrieli Zapolskiej. Ale w Chicago jest podobny problem, co w innych miastach, nie mamy swojej siedziby. Ważne jest, aby mieć stałe miejsce, w którym można by wystawiać polskie sztuki i do którego widzowie by się przyzwyczaili. Trudno jest więc budować publiczność w takich warunkach. Poza tym, jeśli za każdym razem wynajmowana jest inna sala, trzeba bardzo dużo wydać na reklamę, żeby ta informacja dotarła do ludzi. Tak więc w Chicago nie mamy problemu z aktorami, tylko z miejscem.

Ale jak widzę, mimo trudności, masz już plany na jesień. Polish American Actors Theatre pokaże kolejną twoją sztukę “Polski Żigolo”. Będzie to pierwsza sztuka osadzona w realiach chicagowskich.

Tak, rzeczywiście, będzie to sztuka w pełni chicagowska. Młody dziennikarz przyjechał z Polski i podejmuje różne prace. Pracuje

w polskiej telewizji Polvision i w „Dzienniku”. Poznaje panią na Belmont Street, żeni się z nią dla papierów, potem poznaje inną kobietę, w której się zakochuje. Sytuacja się komplikuje. Kobieta ta w pewnym momencie mówi ”dosyć już łez na Belmoncie”. Ma siostrę na „Trójcowie”, czyli w rejonie, gdzie są trzy kościoły. Tak mówią Polacy. Niedaleko jest Chopin Theatre i „Podhalanka”. Pojawia się też restauracja „Słowik”. Czyli polska publiczność rozpozna chicagowskie realia. Puenty nie będę zdradzał. Planuję wystawić tę sztukę w małym, amerykańskim teatrzyku, gdzie będzie większa intymność i lepszy kontakt z widzem.

Mimo chicagowskich realiów „Polski Żigolo” ma również uniwersalne przesłanie. Taka historia mogłaby się wydarzyć w każdym emigracyjnym środowisku.

Myślę, że za jakiś czas, jeśli uda mi się znaleźć producenta, moje sztuki łatwo będzie zaadaptować na film, właśnie ze względu na ich uniwersalny przekaz. Mam przynajmniej taką nadzieję.

I tego ci życzę.

Skiz – joker, czyli karta atutowa w tarocie, popularnej grze karcianej.



Twórcy wizerunku

Polonii

> Po całej kuli ziemskiej rozsypali się bracia nasi, Polacy. Spotkać ich można w Moskwie i Berlinie, w Irkucku i Nowym Jorku, nad Renem i Amurem, nie mówiąc o takich okolicach, jak Wołyń, Podole, Ukraina i Litwa. Wszyscy oni tę posiadają wspólność wobec naszego serca i pamięci, że – prawie ich nie znamy, bardzo niewiele o nich wiemy i nader mało interesujemy się nimi.
>
> (Bolesław Prus, cyt. umieszczony na okładce albumu „Twórcy wizerunku Polonii)



Joanna Sokołowska-Gwizdka, red. naczelna magazynu „Culture Avenue", znalazła się w II tomie albumu „Twórcy wizerunku Polonii". Z lewej: nad Travis Lake w Austin, Teksas, fot. Jacek Gwizdka, z prawej, z mężem Jackiem Gwizdką, profesorem University of Texas at Austin, na kultowej ulicy 6th Street w Austin

W 2018 roku ukazał się I tom albumu "Twórcy wizerunku Polonii" będący realizacją specjalnego projektu w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości.

Wśród 100 postaci, obok tak znanych nazwisk jak m.in. **Jerzy Giedroyć**, prezydent **Ryszard Kaczorowski**, piosenkarka **Karin Stanek** czy światowej sławy artysta malarz, grafik i twórca plakatów **Rafał Olbiński**, znalazły się noty wielu polskich naukowców, artystów, działaczy społecznych, którzy żyją i pracują poza granicami kraju.

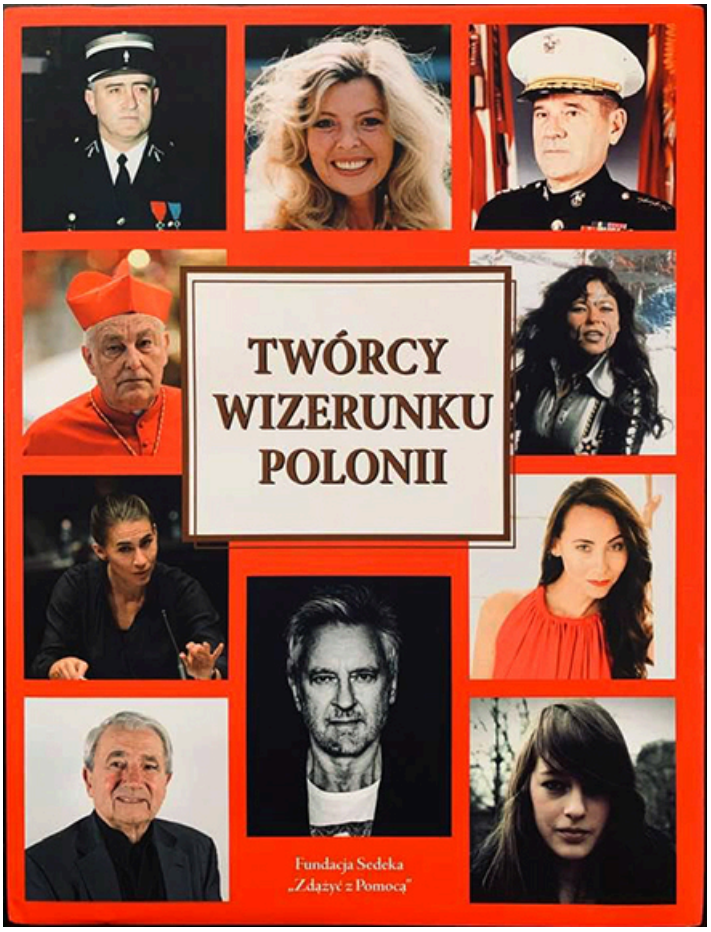
Wydawcą albumu jest Fundacja Sedeka wraz z Fundacją Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”. Tworzą one Wspólnotę „Zdążyć z Pomocą”, której prezydentem jest aktorka **Beata Tyszkiewcz**. Pomysłodawcą i założycielem Fundacji jest polski inżynier i działacz społeczny, **Stanisław Kowalski**, obecnie prezes zarządu. Był on również wydawcą siedmiotomowej edycji „Twórców wizerunku Polski”, stąd naturalną kontynuacją tamtej serii jest album „Twórcy wizerunku Polonii”.

We wstępie do pierwszego tomu pisze:

> Przez długie lata Polacy byli skazani na emigrację. Gdziekolwiek żyli, nigdy nie zapominali o kraju swojego pochodzenia. Walczyli o niepodległość nie tylko szablą, ale także piórem czy pędzlem – sławiąc Ojczyznę, która zniknęła na pewien czas z mapy Europy. Miałem szczęście urodzić się w Polsce niepodległej, lecz niestety, jako sześcioletni chłopiec doświadczyłem horroru wojny. Nasz kraj został ponownie zniewolony, a strumień emigracji targanej koszmarnym wiatrem historii nie zmniejszył się, a wręcz nasilił. Na przestrzeni wieków los często zmuszał Polaków do życia poza Ojczyzną, ale nigdy nie zapominali o kraju swojego pochodzenia. Naukowcy, artyści, przedsiębiorcy, politycy, nie mogąc służyć ojczyźnie na miejscu, pracowali dla niej poza granicami. (…) Warto przyjrzeć się

współczesnym sylwetkom twórców wizerunku Polonii, ich pracy i twórczym dokonaniom. Są oni najlepszymi ambasadorami naszego kraju, sprawiają, że słowo Polak brzmi dumnie.

(Stanisław Kowalski)



Tom I



Tom II

Pomysłodawca serii poświęconej Polakom za granicą i redaktorem albumu jest **profesor Zbigniew Andrzej Judycki**, wiele lat mieszkający we Francji, dziennikarz, biograf i promotor Polonii. Jest on autorem i współautorem, wydawcą i współwydawcą kilkudziesięciu publikacji książkowych o tematyce polonijnej, ze szczególnym uwzględnieniem wydawnictw słownikowych; pomysłodawca i organizator dziesięciu międzynarodowych sympozjów poświęconych udziałowi Polaków i osób polskiego pochodzenia, żyjących na obczyźnie w rozwoju cywilizacyjnym świata. Pomysłodawcą wyróżnień za zasługi dla promocji dokonań Polaków w świecie – medalu honorowego „Polonia Semper Fidelis”, ustanowionego

przez Senat RP (1996). Jest także inicjatorem i współzałożycielem Polskiego Stowarzyszenia Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie (z siedzibą w Paryżu). Członek stowarzyszeń, komitetów i rad zajmujących się problematyką polonijną. Laureat nagród i wyróżnień (m.in. Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, francuskich historyków Piarron de Chamousset i „Fidelis Poloniae"). Honorowy profesor Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. Autor, twórca pomysłu i wstępnych projektów wystawy Polacy w Europie.



W 2019 roku ukazał się II tom „Twórców wizerunku Polonii". Jest to to kolejny zbiór biografii wybitnych Polaków na emigracji.

Wśród znanych postaci znajdują się m.in.: **Matylda królowa Belgów, Czesław Miłosz, Jan Karski, generał Stanisław Maczek** czy też twórca zegarków szwajcarskich **Antoni Patek**. Znalazło się tu też wiele osób z Kanady jak np. dyrygent Andrzej Rozbicki z Toronto, czy podróżnik, który dwukrotnie dostał się do Księgi Rekordów Guinnessa, Jerzy Adamuszek.

W II tomie albumu „Twórcy wizerunku Polonii" znalazła się też pisarka, dziennikarka, członek Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, twórczyni i redaktor naczelna magazynu poświęconego polskiej kulturze poza krajem „Culture Avenue" – **Joanna Sokołowska-Gwizdka**.

Poza Polską jest od 2001 roku, najpierw mieszkała w Toronto w Kanadzie, od 2005 r. w USA (New Jersey), a od 2013 r. mieszka w Austin w Teksasie.

Absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Łódzkim. Po ukończeniu studiów przez kilka lat pracowała w Katedrze Literatury Staropolskiej UŁ. Równolegle współpracowała z tygodnikiem społeczno-kulturalnym „Odgłosy", Telewizją Polską Łódź oraz z „Głosem Polonii" – polskim radiem w Perth w Zachodniej Australii. Była także przedstawicielem medialnym oraz organizatorem promocji w Polsce Międzynarodowego Festiwalu Chopinowskiego odbywającego się w La Châtre-Nohant we Francji.

Po wyjeździe do Toronto związała się z „Gazetą” – największym dziennikiem Polonii w Kanadzie. Przez 6 lat redagowała „List Oceaniczny” – dodatek kulturalny „Gazety”. Przeprowadzała też wywiady z przedstawicielami świata kultury na antenie stacji telewizyjnej w Toronto „Polish Studio”. Po przeprowadzce do USA współpracowała z „Przeglądem Polskim” – dodatkiem społeczno-kulturalnym nowojorskiego „Nowego Dziennika”. Jej artykuły, recenzje i wywiady publikowane były też w różnych pismach w Polsce: m.in. „Rzeczpospolita”, „Jazz Forum” i na świecie: „Polonia Kalifornijska” (San Diego, Kalifornia), „Teraz” (Filadelfia, Pensylwania), „Polonez” (Kair, Egipt), „Kurier Zachodni” (Perth, Zachodnia Australia), „Tygodnik Polski” (Sydney, Australia), „Pro Polonicum” (Fryburg, Szwajcaria), „Pamiętnik Literacki” (Londyn, Wielka Brytania).



Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie, maj 2019 r., stoisko A.P.A.J.T.E. (Polskie Stowarzyszenie Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie), z siedzibą w Paryżu. W środku Magdalena Bykowska – prezes Stowarzyszenia i Joanna Sokołowska-Gwizdka, wystawiająca swoje książki.

Jest autorką polsko-angielskiej książki **„Co otrzymałam od Boga i ludzi. Opowieść o Helenie Modrzejewskiej”** (Borey Publishing, 2009), współautorka sztuki teatralnej o Fryderyku Chopinie **„Dobry wieczór Monsieur Chopin”** (2010), wystawionej przez Salon Poezji, Muzyki i Teatru z Toronto, przetłumaczonej na trzy języki (angielski, francuski, portugalski), granej w Kanadzie, USA, Brazylii i Europie oraz autorką monografii polskiego teatru w Toronto **„Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny”** (Novae Res, 2016). Książka ta nie tylko obejmuje 22 lata działalności teatralnej i dokumentuje kilkadziesiąt premier, ale przede wszystkim opowiada losy Polaków z różnych pokoleń emigracji, którzy związani byli z tym teatrem.

Jest także wiceprezydentem Austin Polish Society, przewodniczącą Klubu Historyka w Austin i współorganizatorem Festiwalu Polskich Filmów w Austin.

Laureatka statuetki **Złota Sowa w kategorii literatura**, przyznanej przez Klub Inteligencji Polskiej w Wiedniu (2018). Została także wyróżniona przez Press Club Polska **Nagrodą im. Macieja Płażyńskiego**, za redakcję magazynu „Culture Avenue” (2018).

_____

Twórcy wizerunku Polonii, red. prof. Zbigniew Judycki, wyd. Fundacja Sedeka, Tom I i II, Warszawa 2018 i 2019.